Lech Kańtoch

Wojna secesyjna między Północą a Południem, to najbardziej dramatyczne wydarzenie w historii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Co więcej – zdaniem Jamesa M. McPhersona historyka z Princeton University i autora bestsellera „Battle Cry of Freedom" – ta „wojna nigdy nie odeszła". Ona tkwi wciąż w świadomości Amerykanów.

Powody zainteresowania

Pierwszym jest wielkość strat ludzkich, jaki przyniósł ten bratobójczy konflikt. Liczba 625 tysięcy żołnierzy Unii i Konfederacji, którzy ponieśli śmierć na polu bitwy lub zmarli z ran porównywalna jest tylko z ponad 700 tysiącami, którzy zmarli we wszystkich innych wojnach, w jakich uczestniczyły Stany Zjednoczone, w tym w dwóch wojnach światowych.
Każdego roku miliony Amerykanów odwiedzają miejsca bratobójczych bitew. Kilka milionów jest członkami różnych stowarzyszeń i kół dyskusyjnych. Bibliografia dotycząca tej „Drugiej Amerykańskiej Rewolucji" – jak się często nazywa wojnę secesyjną – obejmuje około 100 tysięcy prac wydanych od 1865 r. Do niej powraca się w filmach, takich jak klasyczne już dzieło „Przeminęło z wiatrem", czy zapomniany serial „Północ – Południe". Wiele westernów bierze początek w tym konflikcie, nie mówiąc o licznych filmach, które do niego nawiązują.
Koszmar wojny secesyjnej nadal przeraża. Lecz również fascynuje wciąż Amerykanów. Ma więc rację Thomas Hardy, że „wojna tworzy znakomitą historię, zaś pokój ma ubogą fabułę". Ta wojna miała swoich bohaterów. Pierwszym na liście jest prezydent Abraham Lincoln – największy mąż stanu Ameryki. Na Południu wciąż czczony jest generał Robert E. Lee – dowódca wojsk Konfederacji. Generał Ulisses S. Grant jest bohaterem Północy. Złowrogą sławą – za spalenie Atlanty – cieszy się na Południu generał William T. Sherman. Na inną reputację zasłużył sobie kobieciarz generał Joseph Hooker – z jego nazwiskiem kojarzone są swobodne w życiu dziewczyny.
Jeśli romantyzm może być jedną stroną horroru – widzimy to w klasycznym już „Przeminęło z wiatrem" – to dramatyzm bratobójstwa może być jego drugą stroną. Były bowiem setki – jeśli nie tysiące – przypadków, gdy brat walczył z bratem, kuzyn z kuzynem, a nawet ojciec z synem. Tak działo się w tzw. granicznych stanach, tak było na przykład w Kentucky, z niego pochodził Abraham Lincoln, którego powinowaci walczyli w wojskach Konfederacji. Takich przypadków było znacznie więcej w Wirginii, stanie, który podzielił się podczas wojny.
Zwykłe ludzkie losy są odnotowane w wielu tysiącach listów i dzienników pieczołowicie przechowywanych przez rodziny. Oddawanych do druku wydawnictwom niekończącego się strumienia książek o tym dramacie. Obie armie miały bowiem najbardziej wykształconych – z dotychczasowych wojen – żołnierzy, którzy pisali nieocenzurowane listy czy dzienniki. To one dają nam obraz przerażającego konfliktu – wojny totalnej.
Oczywiście różna jest świadomość tej wojny w społeczeństwie amerykańskim, większa z pewnością na Południu. Słynny pisarz William Faulkner powiedział kiedyś, iż przeszłość nie jest martwa, nawet nie jest przeszłością. Ten wielki Południowiec uważał wojnę secesyjną, za co najwyżej, „dział wodny" w historii amerykańskiego Południa.

Korzenie podziału

Wiele pamiątek przeszłości ją przypomina, choć już nie budzi takich kontrowersji jak jeszcze

kilkadziesiąt lat temu. Dla „Jankesów” – ludzi z Północy – niechęć wzbudzały pomniki żołnierzy Konfederacji, „Bonnie Blue Flag” z Krzyżem Południa czy też melodia „Dixie’s Land”. Dzisiejsza kontrowersyjność – można się jeszcze z takimi postawami spotkać w wielu miastach Południa – powoduje wciąż pytania, o co walczyły miliony ludzi w tej wojnie.
Standardowa odpowiedź Amerykanina brzmi: o wolność. Tę wolność, o której pisali „Ojcowie Założyciele”. Tak rozumieli cele wojny ludzie z Północy i na Południu. Tymczasem tylko nieliczni brali pod uwagę, że amerykański paradoks, polegał na tym, że kraj wolności bazował na niewolnictwie i segregacji rasowej. „Wszystko brało się z niewolnictwa” – konkludował James McPherson. W 1861 r. po restauracji Cesarstwa we Francji i powstaniu reakcyjnych reżimów w wolnej od niedawna Ameryce Łacińskiej USA były – według Abrahama Lincolna – „ostatnią nadzieją świata”.
Ale ta „nadzieja” była używając jego innych słów „domem podzielonym” już od dawna, zaś wojna secesyjna tylko ten podział ujawniła. Podobne były instytucje, podobne było prawo, ten sam język, choć na Południu inny był akcent, wcale zresztą niejednolity. Na tym podobieństwa się kończyły, ponieważ obie połacie kraju były faktycznie różne. Były dwa narody i dwie odrębne gospodarki.
Przed secesją Południowcy mówili z niepokojem o „molochu przemysłowym” na Północy. I mieli rację. Bo miliony tamtych Amerykanów budowało koleje, mosty, fabryki. Nieprzerwaną ławą szli na Zachód osadnicy, którzy przekraczali rwące rzeki i wysokie góry. Docierali do Oceanu Spokojnego w Kalifornii czy zakładali farmy na terytorium Oregonu. Z 5 milionów europejskich osadników zaledwie pół procenta osiedliło się przed wybuchem wojny na Południu. Tam wciąż bardziej byli potrzebni czarni niewolnicy, niż wolni biali ludzie.
O tempie rozwoju Północy może świadczyć rozwój linii kolejowych i miasta Chicago. W 1850 r. łączna ich długość wynosiła 11 tysięcy mili, w 1860 r. było już 32 tysiące mil i kilka linii w budowie. W 1850 r. Chicago nie miało jeszcze kolei, w 1855 r. docierało do niego już pięć linii, a miasto stało się nie tylko największym na świecie ośrodkiem handlu zbożem, ale dzięki kolejom największym portem po Nowym Jorku. Pod względem obrotów daleko wyprzedziło nie tylko Nowy Orlean, ale także Charleston, gdzie pod Fortem Sumter padły pierwsze strzały.
System kolejowy Południa nie spełniał tej roli gospodarczej, co na Północy. Brak było połączeń z innymi częściami kraju, zwłaszcza Zachodem i Środkowym Zachodem. W czasie wojny okazał się bardziej sprawny dzięki jednej szerokości torów i zwartemu systemowi połączeń stanów południowych.
W porównaniu z Południem przemysł Północy – rozwijający się w kilku regionach – wyglądał imponująco. Wartość produkcji sięgała 10 miliardów dolarów. O tempie wzrostu świadczył fakt, iż w ciągu 50 lat produkcja przemysłowa Północy zwiększyła się czterokrotnie. Robotnik wykwalifikowany zarabiał wówczas około 1 000 dolarów rocznie. Zaprezentowane w Londynie w 1851 i 1854 r. wynalazki, a także stosowanie przez USA ceł ochronnych, pokazały osłabienie europejskiej konkurencji wobec przemysłu amerykańskiej Północy.
Południe nazywano Królestwem Bawełny. Uprawiali ją – podobnie jak tytoń i trzcinę cukrową – czarni niewolnicy. Ich wartość szacowano na 3,5 miliarda ówczesnych dolarów. Było to więcej niż wartość banków, fabryk i statków Północy. Produkcji bawełny, tytoniu i cukru wynosiła wówczas 200 milionów dolarów, zaś eksport bawełny stanowił 7/8 eksportu Stanów Zjednoczonych.
Ale już zboże musiano sprowadzać z dynamicznych rolniczo Wielkich Równin, bo jego uprawa nie opłacała się plantatorom. Podobnie było z hodowlą bydła i nierogacizny na produkcję mięsa. Gdy tylko wybuchła wojna na Północy rozwinął się przemysł przetwórczy –wytwarzanie konserw

mięsnych.
Dumne Południe nie dostrzegało tych różnic. Nie zdawało sobie sprawy z braku własnego przemysłu. Ani nie odczuwało jego potrzeby. Żyło dostatnio ze sprzedaży surowców rolnych – przede wszystkim bawełny – posiadało mocną organizację opartą o podział klasowy.

Odrębność Południa

System tworzenia się kolonii amerykańskich był różny. Znane rodziny pochodziły często z angielskiej „gentry", która zaczęła się osiedlać w Wirginii w początkach XVII wieku. W 1607 r. dotarli już pierwsi osadnicy, którzy założyli miast Jamestown. 12 lat później dostarczono im pierwszych niewolników z Afryki. Dało to początek wielkiej kolonizacji Ameryki i powstania „Starego Dominium" angielskiego. Dopiero w 1620 r. dopłynęli okrętem „Mayflower" do Plymouth purytanie dając początki koloniom Nowej Anglii. Kolonie te traktowano jako kraje zupełnie obce, a Jankesów z Północy jako zagranicznych kupców sprzedających ich produkty do Anglii.
Obecność czarnych niewolników – w końcu ery kolonialnej liczyli oni 1/6 mieszkańców 13 kolonii, a w Karolinie Południowej aż 2/3 ogółu – nie wytworzyła bynajmniej mocniejszych więzi między białymi Południa. Natomiast ukształtowała się tam stratyfikacja typowa dla ustroju opartego o wielką własność ziemską. Liczyli się przede wszystkim wielcy plantatorzy oraz średni będący na dorobku. Ci ostatni mając nawet dwóch niewolników mogli czasem szybko stać się milionerami.
Bardzo różny był los niewolników. Przykłady okrucieństwa wobec nich – podawane przez abolicjonistów – nie są wcale wytworem propagandowym. Nie było jednak przypadków historii „szczęśliwych niewolników" – jak opisywano dawne Południe. Ale też niewolnicy różnili się między sobą, tak jak pozostała cześć społeczeństwa amerykańskiego. Ci przywiezieni jeszcze w początkach XVII wieku czy później byli już kompletnie zasymilowani, mówili po angielsku, nie byli to prymitywni „Gullah" przemyceni w XIX wieku z Angoli.
Jeszcze w czasach kolonialnych rozwinięta była swoista „gospodarka hodowlana" niewolników, a później odsprzedawanie młodych niewolników do innych stanów. Tu wiodła prym Wirgina, natomiast Nowy Orlean słynął z pięknych „octoroons" – kurtyzan nie ustępujących wdziękiem Francuzkom – których czarnych przodków zdradzały tylko ciemniejsze paznokcie.

„Dom podzielony"

Nie one jednak zadecydowały o wybuchu konfliktu. Istniał on i narastał od zarania Stanów Zjednoczonych. Mieli tego świadomość liberalni i demokratyczni politycy. Gdy Anglia w początkach XIX wieku ograniczyła, a później zniosła niewolnictwo w USA odbywał się istny wyścig, który z owych stanów opowie się za niewolnictwem. W 1820 r. zawarto tzw. kompromis Missouri zakazujący niewolnictwa w stanach na północ od 36 stopnia. Ekspansjonizm amerykański i parcie na Zachód uzasadniano dążnością Południowców do zdobycia przewagi nad Północą. Republika Teksasu proklamowana w 1836 r. opowiedziała się za niewolnictwem. Konflikt narastał więc latami. Spektakularnego znaczenia nabrała sprawa abolicjonisty Johna Browna ujętego po jednej akcji w Harpers Ferry i powieszonego w dniu 2 grudnia 1859 r. Został on później bohaterem a pieśń „John Brown's Body" stała się marszem Północy. Inny wymiar miało zniesienie kompromisu Missouri przez Sąd Najwyższy. W przeddzień wojny 15 stanów popierało niewolnictwo, a 18 było przeciw. Ameryka założona na bazie wolności niebezpiecznie

zbliżyła się do ostatnich krajów bazujących na niewolnictwie.
Wybór Abrahama Lincolna na prezydenta uznało Południe za prowokację.
Skonfederowane Stany Ameryki powstały 8 lutego 1861 r. zanim Abraham Lincoln 4 marca 1861 r. wkroczył do Białego Domu. 14 kwietnia 1861 r. Południowcy zaatakowali Fort Sumter w Charleston, Lincoln uznał secesję za nielegalną i zapowiedział, że będzie bronił integralności kraju. Jednak wybuchła czteroletnia niezwykle krwawa wojna. Północ wierzyła, że zajęcie Richmondu, stolicy Konfederacji leżącego 160 kilometrów od Waszyngtonu jest tylko kwestią czasu.
Pierwszą bitwę pod Bull Run wygrali Konfederaci. Można się zastanawiać, co by było gdyby „Jednorożec" (Południe) pokonał „Anakondę" (Północ). Tak się bowiem przez długi czas zapowiadało, a generał Robert Lee odnosił wielkie zwycięstwa i jest uznawany przez część Amerykanów za najlepszego amerykańskiego dowódcę wszechczasów.
Amerykę czekał konflikt totalny. Spowodował on pełną mobilizację ludzkich i materialnych zasobów obu stron. Wojna toczyła się jednak na Południu, które zostało doszczętnie zniszczone, zakończyła się bezwarunkową kapitulacją wobec zwycięskiej Północy, przestał istnieć ekonomiczny i społeczny system pokonanego Południa i zastąpiony narzuconym przez zwycięzcę.
Celem wojny było według Lincolna utrzymanie „starej Unii" i przebudowanie jej w oparciu o „nowe narodziny wolności" – tym razem dla wszystkich. Abraham Lincoln użył tego zwrotu w słynnym przemówieniu w Gettysburgu, gdzie mówił, że „rząd ludu, przez lud i dla ludu nie zniknie z powierzchni ziemi".
Północ ostatecznie wygrała. Zadecydowała blokada gospodarcza, przewaga organizacyjna i gospodarcza, a także ofensywa na froncie zachodnim doprowadziły do kapitulacji generała Lee 9 kwietnia 1865 r.
5 dni później prezydent Lincoln został śmiertelnie postrzelony. Niewolnictwo zostało zniesione, co zapewniły kolejne poprawki do Konstytucji USA. Zwycięska Północ forsowała politykę „rekonstrukcji" i „rządy czarnych" i ich protektorów. Fanatyzm radykałów z Północy wtrącił Południe w wiele lat nędzy i poniżenia. Zniweczył pozbawione żądzy odwetu stanowisko Lincolna i jego następcy Andrew Johnsona. Ale nie oznaczało to likwidacji rasizmu, który na ponad sto lat stał się elementem amerykańskiej rzeczywistości.

Wojna powoli odchodziła

Przez prawie sto lat USA były krajem o ostrych podziałach rasowych, faktycznie istniały dwa narody, białych i czarnych. Ulegało to stopniowemu łagodzeniu, ale właściwie dopiero sto lat po wojnie secesyjnej, w latach sześćdziesiątych XX wieku, doprowadzono do likwidacji segregacji rasowej.
Stało się to z inicjatywy prezydenta Johnsona, rodowitego Teksańczyka, a także wzmożonych protestów czarnej ludności i pastora Martina Luthera Kinga.
Zacofany „Czarny pas" zmienił się w nowoczesny „Pas Słoneczny". Jego odrodzenia zwane „Drugą Rekonstrukcją" to lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XX wieku.
Nie tak dawno temu nowojorskie Historical Society zorganizowało wielką wystawę poświęconą „Niewolnictwu w Nowym Jorku". Bynajmniej nie na Południu, a właśnie w Nowym Jorku. Bo przecież Wall Street stał się potęgą finansową dzięki bawełnie z Południa. Oglądający ją Amerykanie byli zaszokowani i zaskoczeni zjawiskiem niewolnictwa.
Mówili, że nie mieli o nim najmniejszego pojęcia. Nie zdawali sobie sprawy z podziałów

rasowych, które obecnie nie mają znaczenia, a ilość małżeństw mieszanych jest ogromna. Nie mniej te procesy musiały długo trwać.
Stąd dopiero w 2008 r. prezydentem został wybrany czarny Amerykanin – Barack Hussein Obama.

Lech Kańtoch, dziennikarz, publicysta